



## Danuta Rossman

## część I z II

Sygnatura notacji: **N0259**

Data urodzenia: **02.09.1922 r.**

Data nagrania: **15.09.2009 r., 28.09.2009 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna Piotrowska, Barbara Pamrów**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Danuta Antonina Rossman, urodzona 2 września dwudziesty drugi rok, w Warszawie. Od początku stała warszawianką. Rodzice właściwie ze [00:00:28 niezrozumiałe], można powiedzieć, dlatego że tak jak to było w tamtych czasach. Matka spod Warszawy, a ojciec urodził się w Besarabii, więc dosyć daleko, prawda? No ale potem wylądowali w Warszawie i już całe życie w Warszawie, do końca. Miałam rodzonego brata, który już nie żyje i cioteczną siostrę, z którą [byłam] bardzo blisko, żeśmy razem się wychowywały i właściwie żyły całe życie blisko siebie. Tak że to było moje rodzeństwo. No i mnóstwo przyjaciół naokoło, to chyba jest ważniejsze jeszcze.

A dom rodzinny?

A dom rodzinny... Więc to było, małżeństwo moich rodziców było młode, jak, w stosunku do tego co się dzisiaj dzieje, bo ojciec... Ojciec był sześć lat młodszy od matki i miał chyba dwadzieścia lat jak się ożenił. Był w obronie Warszawy tutaj, w dwudziestym roku, jako artylerzysta, na pociągu takim pancernym jeździł. No i była wojna i po wojnie się zaraz pobrali, w bardzo ciężkich finansowych warunkach. Pamiętam, że mieszkali rodzice – ja już tego nie pamiętam, ale wiem, że mieszkali rodzice, tam się urodziłam, na Mariensztacie w takim jakimś bardzo biednym domku. Pamiętam, że był jeden pokój, umywalka była na korytarzu. Do toalety chodziło się na podwórze – no to jakiś stary musiał być bardzo budynek, prawda? No a później, pod koniec lat dwudziestych, już do własnego mieszkania na ulicy Grottgera w Warszawie. Mieszkanie własnościowe. Ojciec pracował, matka nie pracowała, dwoje dzieci. Jak to dawniejsze małżeństwa były.

A pani dzieciństwo?

Oj, dzieciństwo to miałam fantastyczne, bo przede wszystkim małżeństwo, które się zdecydowanie bardzo kochało, któremu było dobrze, którzy mieli podobny do siebie światopogląd. Którzy troszczyli się o, zarówno o mnie jak o brata. I muszę powiedzieć, że w..., tak gdzieś pod chyba, w dwudziestym ósmym-dziewiątym roku został, właściwie przez dziadka mojego, znaczy ze strony ojca – dziadek był lekarzem i kupił nam kawałek ziemi pod Górą Kalwarią, pod Warszawą. I nazywał się Olesinek bo dziadek, był dziadek Oleś i została nazwa Olesinek. No to była, powiedzmy, dzisiaj się mówi: dacza, chociaż to było coś większego niż dacza, bo to było dziesięć hektarów. Były krowy, były świny, był koń, były kury, indyki, tak że całe, właściwie całe takie gospodarstwo, potraktowane zabawowo. Ojciec pracował w Warszawie. Ojciec pracował od początku w PKO. Najpierw, przypuszczam, jakiś tam urzędnik, a skończył jako wicedyrektor administracyjny całego PKO, więc jakieś tam stanowisko większe, prawda? A ten Olesinek to właśnie był dla nas raj i cały skarb, bo byliśmy we troje tam wtedy. Ja byłam najstarsza, brat był młodszy ode mnie o trzy lata. Ta siostra cioteczna też młodsza. Więc tam rzeczywiście no było wszystko, znaczy były te zwierczaki, z którymi myśmy się razem hodowali. Była pełna swoboda. Koło domku w którym tam mieszkaliśmy był nieduży las. W tym lasku, pamiętam, to był chyba trzydziesty piąty rok, coś takiego, rodzice wybudowali chałupkę dla właśnie brata i siostry, dla tych młodszych. To był prawdziwy domek z dwoma okienkami, z tapczanami w środku. Z obrazem takim, takim Chrystusa. Z takimi łyżkami wiszącymi na ścianie. Na zewnątrz była zrobiona prawdziwa kuchnia na której można było gotować. I była koło tego domku jeszcze, wykopana prawdziwa, autentyczna studnia z żurawiem, z tym tylko, że wiadro było małe, bo to było dla dzieci. A ja – to oni dostali ten domek – a ja dostałam wtedy konia. Nazywał się Dak, pod siodło. I... No to komu mogło być lepiej, prawda? A przy tym do tego Oleśnika oczywiście mnóstwo przyjaciół z Warszawy ściągano, zarówno przyjaciół naszych rodziców jak i nasze, dziecinne, prawda. Tak że to były lata no bardzo, bardzo szczęśliwe, bardzo dobre.

A harcerstwo kiedy się zaczęło?

A harcerstwo zaczęło się jak przeszłam ze szkoły podstawowej, zresztą bardzo dobrej, do gimnazjum, do Królowej Jadwigi, w trzydziestym szóstym roku i wtedy od razu wstąpiłam do harcerstwa. 14 „Błękitna”, no i tak już zostałam.

I czym dla pani było wówczas harcerstwo? Dlaczego pani wstąpiła?

No, swego rodzaju zabawą. Poza tym współzycie w jakiejś gromadzie, z którą się wspólnie coś chciało robić. Od razu zaczęło się, pamiętam, od, ponieważ wstąpiłam na jesieni, jak tylko przyszedłam do szkoły – i zaczęło się od zimowiska. No więc wyjazd, pierwsze sanki, narty, wycieczki – tak że to wszystko było... To była szkoła żeńska zresztą, bo wtedy jeszcze były te gimnazja żeńskie i męskie oddzielnie. No i w tej „czternastce” właściwie już byłam długi czas, z tym, że zakończyła się 14 „Zieloną”, którą sama prowadziłam, bo tych „czternastek” było potem wiele kolorów.

A czy harcerstwo wychowywało wówczas?

O! Niesłychanie. Ja myślę, że już dzisiaj niestety troszkę mniej, ale harcerstwo wychowywało człowieka, obywatela,

to znaczy, rzeczy, które dzisiaj prawie nie istnieją: patriotyzm, odpowiedzialność, honor, duma. No dla nas na przykład chodzenie po prostu w mundurze, to była radość. Myśmy się cieszyli, że się możemy pokazać. Dzisiaj, w tej chwili, jak wiem, młodzież, która idzie na zbiórkę, to mundur nosi w torbie albo w teczce i dopiero przebiera się na miejscu, bo chodzenie w mundurze na zewnątrz, no wywołuje troszkę uśmiechu u społeczeństwa, ale nie ma tego... Przedtem to harcerstwo było jednak, coś reprezentowało sobą i no można było na tym harcerzu polegać. A pamiętam, że już po wojnie, już jak ja zaczęłam pracować, jak mąż pracował, było wiadomo, że jeśli ktoś z kolegów w pracy przeszedł przez harcerstwo, to on to, co robi, to umie, chce, robi dokładnie, więc jednak to harcerstwo coś dawało na pewno.

I później przyszedł wrzesień, trzydziesty dziewiąty rok.

Potem przyszedł wrzesień, trzydziesty dziewiąty. W sierpniu, w trzydziestym dziewiątym roku, byłam na obozie w Gödöllő, na Węgrzech. Obóz nazywał się Pax Ting, czyli zlot pokoju. Wtedy madame Baden-Powell była tam jako główna przedstawicielka. Wiem, że z Anglii było trzy tysiące dziewcząt, bo to był tylko żeński taki zlot, a nas było trzydzieści parę z Polski. Czyli już, myślę, w Polsce czuliśmy tę nadchodzącą wojnę i tylko tyle mogło pojechać. No dosłownie na tydzień przed wybuchem wojny wróciłam do Polski. I jeszcze pamiętam ostatnią wycieczkę wozem z koniem, do Czerska z tej Góry Kalwarii my ześmy z całym towarzystwem poszli. A jeszcze może tylko dodam tyle, że nasza szkoła, czyli to gimnazjum Królowej Jadwigi, to było gimnazjum-liceum, współpracowało blisko z gimnazjum Batorego i drużyna 14 „Błękitna” współpracowała z 23 „Pomarańczową”. Mój brat potem chodził właśnie do Batorego i brat Hanki Zawadzkiej, tej drużynowej, też chodził do Batorego, więc były takie powiązania bliskie dosyć. Dlatego o tym mówię, że z tymi chłopcami właśnie od Batorego ja byłam zaprzyjaźniona już przed wojną. Pierwsze spotkania, takie imieninowe jakieś, bale szkolne – to właśnie ta gromada była mi najbliższa. Tak że, powiedzmy, ci bohaterowie „Kamieni na szaniec” to było moje najbliższe takie towarzystwo. I przyszedł trzydziesty dziewiąty rok. Byłam wtedy w Olesinku. Czekaliśmy czy wybuchnie, czy nie wybuchnie, czy Niemcy przyjdą, co się dzieje. Oczywiście jako, no można powiedzieć smarkata, miałam wtedy siedemnasty rok – więc, no ja byłam podniecona bardzo, ale pozytywnie. Oczywiście wygramy, wszystko będzie dobrze. Później się okazało, że jednak tacy ludzie jak mój mąż, który był starszy ode mnie o sześć lat, a ponieważ był w Niemczech przed wojną, był wysłany z Politechniki na taki staż jakiś i równocześnie z harcerstwa miał za zadanie skontaktować się z Hitlerjugend. Harcerstwo toczyło taką grę, można powiedzieć z Niemcami, bo na terenie Niemiec było dużo harcerzy, tak po prostu Polaków. Chodziło o to, żeby się, ich nie stracić. Więc niby były takie nawiązywane przyjazne stosunki. Mój mąż tam zorientował się jak ta sytuacja wygląda, bo był w różnych tych obozach młodzieży hitlerowskiej, no i – zresztą zebrał materiały, to przez ambasadę przesłał do Warszawy, bo się bał sam przywozić. No i on był przekonany, że będzie wojna i to nie lekka będzie wojna. Mnie się wydawało, że wszystko będzie ślicznie i dobrze. I pamiętam świetnie, wtedy zaczęło się od tego, że w tym że Olesinku zapakowano w taką naszą bryczuszkę jakieś, nie wiem, futra, jakieś rzeczy, które się uważało, że są cenniejsze. Józef to był taki, który u nas pracował. Człowiek zasiadł do tej bryczki. Moja ciocia, czyli matka tej mojej tej siostry ciotecznej, mój brat i ja mieliśmy przejechać, jechać za Wisłę, na wschód, tak jak to wszyscy przepychali się, żeby z dala od frontu, niby tego niemieckiego. Bardzo mi się to nie podobało, no ale trudno. A mama miała zostać i pilnować Olesinka, a ojciec i wuj mieli dołączyć do jakiegoś wojska, bo przecież byli w tym wieku, że akurat powinni być gdzieś na froncie. Szczęśliwie przy przejechaniu przez Wisłę na drugą stronę, był taki zamęt, taki tłum – jedni szli w jedną stronę, drudzy w drugą, że wróciliśmy do tego Olesinka. No i ja wtedy, pamiętam, że byłam

zrozpaczona i powiedziałam: „Jak to, Warszawa się broni, a ja mam tutaj siedzieć?”. No mama mówi: „A dobrze, a kto się będzie opiekował tym młodszym rodzeństwem” i ciocią, która taka była trochę nie taka. No i wtedy mój brat wystąpił do mamy z prośbą, że on się będzie opiekował. No a on miał wtedy czternasty rok, więc nie tak wiele. No ale to właśnie dlatego o tym mówię, że uważam to jako przykład, w cudzysłowie mówiąc, tak zwanych matek-Polek. Bo mama wtedy mnie puściła do Warszawy, żeby ją broniła tejże Warszawy. Zresztą poszłam z ojcem i z wujem, którzy szli właśnie tam, żeby się gdzieś zaciągnąć. Kawalek żeśmy do Piaseczna dojechali jeszcze kolejką, potem już kolejka nie szła, trzeba było iść na piechotę. To był 7 września. No i wtedy trafiłam już do Warszawy. Spotkałam się z taką trochę starszą od siebie, też z naszej „czternastki” druha i z jej rodziną, która była zaprzyjaźniona zresztą z moją rodziną. Wylądowałyśmy w Ministerstwie Rolnictwa i z tegoż Ministerstwa Rolnictwa chodziłyśmy my dwie i taki woźny z tego Ministerstwa, chodziliśmy na przedpola do żołnierzy, którzy bronili Warszawy. Nosiliśmy jakieś środki opatrunkowe. Nie pamiętam czy to, w każdym bądź razie z jakąś taką torbą chodziliśmy i... To, to był, znaczy, obrona Warszawy tak w ten sposób wyglądała, no a co z niej było, no to wiadomo. I pamiętam jeszcze, że już jak Warszawa się poddała, to biegałam w okolice Łazienek – znaczy, mówię dlatego „w okolice”, że Łazienki były zamknięte, Niemcy już zamknęli. Pełno było w środku polskich oficerów i było bardzo dużo samobójstw. Ci żołnierze, ci oficerowie po prostu nie wytrzymali tego wszystkiego i popełniali samobójstwa. No i ja się bardzo bałam czy tam swojego ojca nie znajdę, no ale ojca nie było, bo był, na wschód powędrował. Oczywiście też się nigdzie nie dostał, tak że potem wrócił. No więc tak to, tak to wyglądał ten wrzesień. I bardzo prędko potem, właśnie przez harcerstwo, przez drużynę tą miałam, trudno powiedzieć, pracę, bo chodziłam na dyżury do Szpitala Ujazdowskiego. Było mało sióstr, było strasznie dużo rannych tych żołnierzy. I na nocne dyżury wtedy chodziłam. Zaczęła się szkoła, która trwała chyba ze dwa miesiące i to wszystko Niemcy zamknęli już potem, a także chodziłam, w dzień chodziłam do Królowej Jadwigi jeszcze na, na swoje normalne jakieś, niby normalne wykłady, a w nocy chodziłam na dyżury do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie miałam mnóstwo przygód z tymi żołnierzami, bo, no widzieli, że młoda dziewczyna, która nie bardzo wie co robić, a takich trzydziestu mężczyzn leżących, no to rozmaite dowcipy mi robili. Ale to szybko się skończyło, dlatego że już, już grudzień, to już był koniec. To już koniec. Szkoły pozamykane. Kogo można, to oni wywozili z tych żołnierzy. Nie pozwolili już Niemcy tam chodzić, tylko była ta służba stała jakaś, szpitalna. No i potem się zaczęły komplety, znaczy uczenie, bo ja małą maturę zrobiłam przed wojną, a liceum już na kompletach kończyłam w czasie wojny. No i bardzo szybko zaczęła się, ponieważ właśnie miałam tych przyjaciół, swoich prywatnych, można powiedzieć, prywatnych przyjaciół, więc jak tylko zaczął się „Wawer”, to mnie wciągnęli do tego. Jak zaczęły się „eny”, to znaczy ta praca propagandowa przeciwko Niemcom. Myśmy takie roznosili ulotki pisane po niemiecku, żeby troszeczkę ich, obniżyć ich poziom entuzjazmu. Po czym zaczęła się zwyczajna bieda. Jeszcze, jeszcze w czasie obrony Warszawy, to świetnie pamiętam, wtedy bardzo dużo koni padło. Konie wtedy obsługiwały Warszawę w dużym stopniu. Przywozili żywność, przywozili węgiel przede wszystkim do domów, do opalania. I dużo koni padło. I wtedy, pamiętam, że główne nasze pożywienie to było właśnie – no po prostu ludzie obcinali kawałki tych koni leżących i na tym się coś tam gotowało, jakieś kasze czy ryż, coś takiego, co kto miał, jakieś zapasy. No i potem, potem te lata to były rzeczywiście no biedne, jeśli chodzi o jedzenie, o wszystko razem, to była bieda.

A jeszcze powracając do małego sabotażu, to znalazłam informację, że współpracowała pani w tajemnicy przed instruktorkami organizacji harcerek. Czy to prawda?

Prawda o tyle, że moja drużynowa, Hanka Zawadzka – ona, w dzisiejszym słowie możemy powiedzieć, że była straszna feministka. Ona uważała, że kobiety to co innego, mężczyźni to co innego, nie ma mowy o jakiejś tam bliższej współpracy. No więc... A ja byłam w tej drużynie, u niej. I były zresztą poważne takie, powiedzmy sobie, niesnaski u państwa Zawadzkich w domu, bo jak Hanka wiedziała, że ja powinnam być na przykład w Domu Boduena – to był taki dom dla podrzutków, dla takich podrzuconych małych niemowlaczków i myśmy tam chodziły na dyżury, żeby pomóc zajmować się tymi dziećmi. Tam rzeczywiście, pamiętam, tam się na przykład nosiło jedno dziecko pod jedną pachą, drugie – to roczne takie albo i młodsze, potem się sadzało nanocniczkach w rzędzie i karmiło się: jednemu, drugiemu, łyżką do buzi, aby prędzej, alby wszystko... Ciężka, no ale rzeczywiście to była potrzebna robota. Ja zamiast tam być w tym Domu Boduena, to przyszedłam do Tadeusza, bo, no bo miałam właśnie z nim coś tam zrobić. I Hanka mnie zastała oczywiście z... Co ja tu robię? Jakim prawem, kiedy tam mam poważną robotę do zrobienia, a ja tutaj jestem.

Czyli się wydało.

Czyli się wydało, tak. Tak że ja właściwie w czasie wojny bliżej i więcej współpracowałam z chłopcami aniżeli z dziewczętami.

Czyli to nie było tak, że po prostu to była zakazana ta współpraca, tylko chodziło o drużynową.

Nie, nie, nie, zakazana nie była, bo... Zresztą było później już to w tych, w tych zespołach męskich, to były te łączniczki, były sanitariuszki, wszystko. No ale, ale tutaj była specjalna sytuacja.

A na czym polegała ta pani współpraca z Organizacją Małego Sabotażu?

No ja po prostu z nimi chodziłam, zrywałam flagi. Był taki, pamiętam, to był maj czterdziesty drugi rok i wtedy było święto 3 maja, oczywiście. I pamiętam, że były założone głośniki na latarniach, to chłopcy robili, które miały być puszczone, nie pamiętam już czy to było „Jeszcze Polska”, czy jeszcze jakieś były przemowy wygłoszone. A myśmy w kilka miały ubrać kilka pomników. Ja wtedy nocowałam z Marylką Dawidowską, z Irką Kowalską, na Powiślu. Zaczęło się od pomnika Sopera, on wtedy tam stał na Powiślu. Miałyśmy takie wstęgi biało-czerwone i na tych wszystkich pomnikach trzeba było zaczepić te wstęgi, w nocy oczywiście, bo w dzień nic, wykluczone. No a po to, żebyśmy mogły to zrobić w nocy, to byłyśmy zaopatrzone w bilety kolejowe, bo Niemcy zezwalali tym, którzy przyjeżdżali, powiedzmy, w jakichś godzinach po policyjnych, jeśli się wykazali biletami, że akurat przyjechali, to pozwolili wracać do domu. Więc myśmy miały takich kilka biletów które trzeba było tylko zmieniać odpowiednio do godziny i my, żeby się legitymować tym, że tylko co żeśmy przyjechały i właśnie wracamy do domu. No oczywiście plecaki pełne materiału, bo te wstęgi. Pamiętam jak siedziałyśmy na tej Syrenie, która jest, do dzisiejszego dnia stoi na Powiślu, która tutaj tak trzyma ten miecz i było przy, tu rękojeści ta, zaczepiona była ta, ta wstęga taka puszczone luzem dalej. No i tak żeśmy sobie maszerowały przez Warszawę. Doszłyśmy do Alei Ujazdowskich i Pięknej i tam nas... I to niestety było Gestapo, to znaczy takich trzech oficerów. Co oni robili, nie wiem, bo to była noc przecież. Jedna z nas, Irka Kowalska umiała po niemiecku dobrze. No i tak żeśmy się, pokazały te bilety kolejowe, że wracamy. Mówi: „Dobrze,

ale dlaczego tutaj w Alejach Ujazdowskich?”, jakoś coś nie pasowało z adresami. No i myśmy tak zrobiły z siebie takie idiotki, co to jest taka piękna noc, maj, ślicznie i tak nam tam się nie chciało wracać do domu – i wiecie, że nas puścili? A myśmy miały przecież pełny plecak farb, bo oprócz tych wstąg, tośmy jeszcze na... Malowali te kotwice... Malowały te kotwice i ten. Więc że oni nas wtedy puścili, to... No bywały różne cuda. I wtedy, pamiętam, że już Irka wróciła do siebie, a myśmy z Marylką poszły dalej. Miałyśmy dobrnąć do naszego mieszkania na Grottgera i tam już mieli chłopcy czekać po tym przygotowywaniu tych głośników. Ale ich jeszcze nie było i no nie bardzo wiedziałyśmy co zrobić, i w końcu poszłyśmy na Mokotowie do, na ulicę Kazimierzowską chyba, do państwa Wuttke, znaczy, pan profesor Wuttke i dwóch synów: Janek i Tadzik. I w nocy przecież, dobrze po dwunastej żeśmy tam przyszły, bez mrugnięcia okiem chłopcy nas wpuścili, pościelili nam, na podłodze zrobili jakieś pośłanie, zostaliśmy tam. Więc dlaczego to mówię. Że no to tego typu była robota. Potem, szyby w wystawach fotografów, którzy fotografowali Niemców, po prostu się tłukło. Potem, pamiętam, było takie kino „Palladium” na placu Trzech Krzyży. Chyba na placu Trzech Krzyży, już mi się myli. I byłam wtedy, już nie pamiętam, chyba z, nie pamiętam, z którymś z chłopców, byłam w tym kinie. Do kina się nie chodziło przecież w ogóle, do kina chodzili Niemcy i chodziły ewentualnie te towarzyszki, Polki, które się, no, można powiedzieć, były absolutnie nie uznane przez społeczeństwo. Myśmy... Poszliśmy na balkon do kina i z balkonu rzucaliśmy takie gazy na dół. Wtedy całość towarzystwa uciekała, bała się. A potem... Mieliliśmy takie pistolety z kwasem i się opryskiwało ubrania tych kobiet właśnie, które chodziły z Niemcami. No więc takie, no dzisiaj powiemy, że głupoty rozmaite, ale to, no stwarzało pewien nastrój w społeczeństwie, że, że nie wszyscy się poddają, prawda.

A brała pani udział w Akcji „N”?

„M”, tak?

„M” i „N”.

„M” i „N”, tak?

Czym one były?

„N”, to mówię, to właśnie było przeciwko Niemcom bezpośrednio, a „M” to było zupełnie co innego, bo to była akcja zorganizowana przez nasz polski rząd, subsydiowana zresztą przez rząd, myśmy dostawali pieniądze. Harcerstwo się włączyło do tej akcji. Chodziło o opiekę nad młodzieżą włączającą się po ulicach. Bo szkół przecież nie było, były pozamykane. Bardzo dużo właśnie takich no, chłopaków, dziewczyn też, ale głównie tych chłopców kilkunastoletnich, no chodziło tak po ulicach. No trochę kradli, trochę się rozbijali, wiadomo. Chodziło o to, żeby ich jakoś zwerbować. I myśmy to w ten sposób organizowali, że najpierw zbieraliśmy, zebraliśmy książki, takie beletrystyczne. Myśmy tam na Grottgera mieli olbrzymi stos złożonych tych książek i pamiętam, że z Jasiem Wuttke, właśnie też Batory, „23”, poszliśmy na ulicę Puławską. Były tam takie, ja wiem? Tam były huśtawki, były jakieś głośniki, była jakaś... Czyli na taki minimalnie zupełnie taki, no wtedy się nazywało „bałagan”. I tam się włączyło bardzo dużo – zresztą tam i żołnierze niemieccy przychodzili – i bardzo dużo się włączyło właśnie takich chłopaków ulicznych. Myśmy tych zaczepiły, zaczepili takich dwóch chłopców, takich mniej więcej szesnastoletków no i pytaliśmy co robią, czy przychodzą, a czy

lubią coś czytać. No tak, ale nie mają co. No to myśmy powiedzieli że właśnie my mamy książki że moglibyśmy im dać. No ale jak to? Przecież... Za darmo? No to mówimy, że za darmo, że przyniesiemy. Ale w czasie tej rozmowy – jeszcze umówiliśmy się, że na następny dzień przyjdziemy z książkami – ale była taka sytuacja, że ich było dwóch, nas dwoje, że naokoło nas zaczęła się skupiać większa gromada młodzieży i to takiej już dwudziestolatków, starszych trochę. I tak, no coraz było ciasniej, że tak powiem, myśmy nie bardzo mieli swobodę do ruszania się, no i niestety w pewnym momencie – ja miałam taki krótki kożuszek – ktoś mi tak rozerwał tutaj. Potem Jaškowi stręcili czapkę z głowy i po prostu zaczęli nas bić. Szczęśliwie byliśmy blisko jezdni, więc jechał tramwaj, zdołaliśmy się jakoś wyrwać i do tego tramwaju wsiąść. Pojechalibyśmy tam daleko na Mokotów. No ale byliśmy zdumieni, dlaczego zaczęli nas bić raptem, nie wiadomo, o co chodzi. Ale my zdecydowaliśmy, że na następny dzień jednak pójdziemy, tak jak żeśmy się umówili, ale poszliśmy już z obstawą, to znaczy chłopcy na różnych rogach ulic, inni tam, czekali, stali z jakimiś pałkami po prostu. No myśmy przyszli we dwójkę i z książkami już. Ci dwaj, z którymi żeśmy rozmawiali, byli, ale tak żeśmy szli naprzeciwko i mijaliśmy się i znowu. No w pewnym momencie zatrzymaliśmy się i myśmy zaczęli rozmowę, że właśnie przynieśliśmy książki, tak jak mówiliśmy. No i była rozmowa całkiem dobra, no oni się zaciekawili tymi książkami: a czy to za darmo, a czy mogą potem inne, więc wydawało się, że wszystko w porządku. I ja w pewnym momencie się ich zapytałam: „Powiedzcie mi, dlaczego wyście zaczęli nas bić? O co chodzi? Dlaczego?”. Więc oni się zaczęli tłumaczyć, że to nie oni, że to tamci, którzy podeszli wtedy, ta gromada tych starszych. Ja mówię: „No dobrze, ale jaki oni mieli powód do bicia?”. No bo jak oni się dowiedzieli, że przychodzi ktoś z ulicy nieznaną i za darmo chce rozdawać książki, no to pomyśleli sobie, że to wariaci, a jak ktoś jest wariat, to trzeba go bić. Więc wiecie, powiedzmy, ta psychologia tych, tej młodzieży była przedziwna. No a potem się dowiedzieliśmy, że oni się nazywają, mają swoje pseudonimy, że w ogóle się nazywają „Giganci”. Nie mieli pojęcia, co znaczy to słowo, ale gdzieś widocznie usłyszeli, podobało im się i zostali tak „Giganci”. No a, a myśmy potem, rzeczywiście myśmy mieli piłki do futbolu, mieliśmy rękawice bokserskie. Były świetlice RGO, które wolno było, znaczy, Niemcy pozwolili prowadzić. Tębyły takie społeczne i korzystaliśmy z tych świetlic. Zresztą właśnie jeszcze pieniądze były z Zachodu przysyłane. I tę młodzież zaganialiśmy właśnie do tych, do tych świetlic. No i później, że tak powiem, z tego towarzystwa trochę się zrobiło takich, którzy byli potem w „Zawiszy”, w tej [najmłodszej] grupie harcerskiej. Tak że... A śmieszne bardzo, bo w tym roku przyszedł tutaj, między innymi, do mnie, obecny przewodniczący Stowarzyszenia „Szarych Szeregów” i mówi, że on jest „Gigant”. Ja mówię: „Co? Jak »Gigant«? Skąd »Gigant«?”. Mówię: „Wiem, co to byli »Giganci«, bo to się przy mnie – że tak powiem – ujawniło to towarzystwo”. A on jest, był w harcerstwie. No ale ja mówię: „Dobrze, ale to byli ci, była ta młodzież uliczna”. I dopiero właśnie się teraz dowiedziałam, że do tych świetlic byli przydzielani chłopcy z „Zawiszy”, żeby zaprzyjaźnili się z tą młodzieżą uliczną, żeby, powiedzmy sobie, jakoś ich troszeczkę podciągnąć. I ci chłopcy z „Zawiszy” przejęli tę ich nazwę, „Giganci”. Tak że dopiero mi się teraz ujawniło skąd, skąd „Giganci”, ta nazwa w Powstaniu. Tak że do dzisiejszego dnia są w Stowarzyszeniu „Szarych Szeregów”, są starsi panowie, którzy mówią, że byli „Gigantami”. No takie przedziwne rzeczy są, historia płata figle.

A czy współpraca z Hufcem „Mokotów Górny” to była jakaś jeszcze inna historia? Na czym polegała ta współpraca?

Bo, no tam byli ci chłopcy właśnie od Batorego. Poza tym tam był, mieszkał Stefan Mirowski. Ze Stefanem Mirowskim poznałam się, kiedy pracowałam jako łączniczka, wtedy nawet się nazywało adiutant, Tadeusza Zawadzkiego i miałam jakieś, jakąś łączność między nimi, coś tam prznosiłam, już nie pamiętam co. Wtedy poznałam Stefana



Mirowskiego. I Janek Wuttke i, to oni pracowali przecież właśnie na tym, to był „Mokotów Górny”. I powiedzmy, na tym moja współpraca z nimi polegała, to znaczy współpraca z poszczególnymi ludźmi, a na tym Mokotowie dzięki temu kontaktowi z tą młodzieżą uliczną, no rzeczywiście mogłam się poruszać zupełnie swobodnie, bo... Oczywiście ja żadnego adresu, nazwiska swojego nie mówiłam, ale, ale te łobuziaki to bardzo szybko już się zorientowały gdzie mieszkam, kto jestem, Tak że tam myśmy mogli się bardzo swobodnie poruszać. Nas tam nikt nie okradł, nic. Tam żeśmy zresztą, potem jeszcze prowadziliśmy komplety, takie szkolne i właśnie ta moja siostra cioteczna, Baśka, o ta, która jest tu na obrazeczku, to ona prowadziła tam lekcje historii i polskiego na tych kompletach. Tak że... Właśnie jak tak sobie dzisiaj pomyślę, dzisiaj, kiedy ludzie w ogóle nie mają czasu, prawda? Bo to jest, ja myślę, to główny brak nas wszystkich, nawet mnie jako starej emerytki i też tego czasu nie mam, ale wtedy myśmy tyle rzeczy robili, bo musieliśmy się uczyć, musieliśmy w jakiś sposób zarabiać na to życie, bo była bieda. O żadnych restauracjach, jadalniach nie było mowy, więc trzeba było w domu też coś ugotować. Była ta praca konspiracyjna właśnie, rozmaita, no ale, ale bogata, bogata, powiedziałabym. A oprócz tego no mieliśmy trochę tego, tego naszego życia prywatnego, jakichś spotkań. Przecież kina nie było, teatru nie było, koncertów nie było, ale spotykaliśmy się prywatnie, bardzo dużo śpiewaliśmy, bardzo, bardzo dużo i często. Były urządzane koncerty prywatne w mieszkaniach. Dużo czytaliśmy. Pamiętam, że takimi książkami, które, powiedzmy, wszyscy żeśmy czytali i mogliśmy potem sobie cytować, to były Konrada Korzeniowskiego, jakoś lubiliśmy tę lekturę bardzo. I zresztą to była, prawda? To niby przygodowa, ale właściwie taka troszkę głębsza, mądrzejsza. Tak że no my naprawdę byliśmy bardzo zajęci wszyscy no i jakoś się... No i godzina policyjna, to było szalone ograniczenie i dlatego od czasu do czasu na przykład nocowaliśmy u siebie wzajemnie, żeby móc pogadać trochę, bo trzeba było być o dziewiątej, a przedtem jeszcze wcześniej, bo to były te rozmaite – i o siódmej też, były okresy takie, kiedy trzeba było być już w domu. Tak że, tak że, no było właśnie to życie bardzo takie skondensowane.

A czym była „Paczka”?

Te grupy młodzieżowe tak się łączyły... Bo ja znałam bardzo szeroko, dużo ludzi, ale takie były dwie grupy, w których bardzo czynny brałam udział. To jedno to była „Paczka”, a drugie to był „Klan”. Powiem może o „Klanie”. Była taka rodzina państwa Długoszowskich. Ojciec zginął w trzydziestym dziewiątym roku. Była matka i dwóch synów. Chłopcy oczywiście od Batorego, z 23. I to była mama klanowa. Ona i koło niej, znaczy, w ich domu, na Filtrowej zresztą mieszkali i koło tych dwóch chłopców tam się najbliżsi przyjaciele jakoś gromadzili, przychodzili, spotykali. I między innymi na przykład, kiedyś przez jakiś czas tam mieszkała Joanna, pochodzenia żydowskiego, znaczy – Żydówka. Dziewuszka taka, ona miała wtedy ze szesnaście – siedemnaście lat i też się nią opiekowali. Ona tam mieszkała. Jej ojciec był profesorem łaciny w gimnazjum, ale potem był aresztowany, była sama, więc się opiekowali. Ona... To było „dziecko »Klanu«”, mówili. Więc... A ja kiedyś dostałam, chyba nawet może mam... laurkę taką, napisaną właśnie przez tych chłopców po kolei i z „dzieckiem »Klanu«”. I powiedzieli, że to to dla cioci. I dostałam bransoletkę z taką rybką i tam było napisane, że ta bransoletka, to jest miłość „Klanu”, która ciocię otacza i tak dalej, takie no, bzdury różne. To był „Klan”. A „Paczka” to było co innego. „Paczka” to, to się znów gromadziło wokół naszego Olesinka i w łomiankach państwo Makólscy mieli Łukaszówek, bardzo piękny zresztą taki stary dworek, duży ale to też była nie taka dacza jak dzisiaj, tylko tam się w ogóle mieszkało w tym dworku. I tam był większy ogród, sad. Pamiętam, że – bo różni ludzie się tam ukrywali. Przez jakiś czas był tam, myśmy go nazywali „strusiem”, bo on był jako stróż



sadu, pilnował tego sadu w nocy. Miał taką budkę zrobioną, tam mieszkał. A to był jakiś profesor psychologii, który też musiał się ukrywać przez jakiś czas. No więc był tym „strusiem” właśnie, nocnym. No i tam, tam była cała nas większa gromadka. Był Jędrzek Makólski, jako właściciel, znaczy – syn właścicieli. Był „Alek” Dawidowski, był „Ziutek” Pleszczyński i był tak zwany „Duży Jędrzek” – no, cały szereg chłopców, którzy, którzy tam się dołączali w rozmaitych okresach czasu. No była Marylka Dawidowska, byłam ja, była Hanna Makólska – no cała taka nasza gromadka. I myśmy się spotykali...

I pani siostra jeszcze.

I Baśka, tak, tak. No i mój, i mój brat, który był młodszy, ale bardzo sympatyzował wtedy z Duśką Bytnarówną, więc, więc... I myśmy się tak zbierali. Śpiewaliśmy dużo. Wtedy kiedy, na przykład w lecie, była burza i wiatr czy coś, to wtedy siadaliśmy w kuchni przy takim wielkim stole i łuskaliśmy jakąś fasolę czy groch, bo myśmy tam jak [przyjeżdżali], zawsze pomagali w gospodarstwie. I śpiewaliśmy sobie wtedy najrozmaitsze piosenki, oczywiście nie wszystkie zresztą harcerskie się wtedy włączały. Ja... Między innymi jeszcze pamiętam – no to tak śmiesznie, ale właściwie się na tyłu polach, że tak powiem, współpracowało w tej konspiracji. Albo pamiętam, że jak już pracowałam w Jurkiem Dargielem, który był harcmistrz, nauczyciel, pięknie śpiewający i od niego cały szereg piosenek właśnie nauczyłam się, bo on wszystkie te, które powstały – zresztą i on sam pisał, bo niektóre były, właśnie on był autorem i... To znosiłam właśnie do tych, wtedy jeszcze mogłam śpiewać, więc, więc śpiewaliśmy sobie razem. Pani Makólska zresztą bardzo pięknie grała na fortepianie.

Skończyła konserwatorium. Była taką bardzo chwaloną. Uczył ją... U Drzewieckiego, to był taki znany profesor bardzo. Więc ona grała, potem „Ziutek” Pleszczyński grał na fortepianie też ładnie. No i śpiewaliśmy sobie wieczorami bardzo wiele najrozmaitszych i wspót – i starych, i nowych piosenek. To właśnie... A mówię, że wtedy się też śpiewało przecież bardzo dużo tych piosenek legionowych, bo to właściwie całe społeczeństwo znało je wszystkie. A teraz mam na przykład żal do was wszystkich, że jeśli chodzi o legionowe jeszcze piosenki, znaczy z I wojny, to do dzisiejszego dnia mnóstwo osób je zna, natomiast piosenki z II wojny, te mnie bliskie takie, to właściwie w zaniku są szalonym, bardzo niewiele je, ich ludzi zna, rzadko się je słyszy czy w telewizji czy w radio, a przecież niektóre są bardzo ładne. No i co? I „Paczka” poza tym, że właśnie, że brała udział w pracach rolnych, że – zresztą i w Olesinku i w Łomiankach [00:48:07 niezrozumiałe]. No, tak... Świetnie pamiętam, że w Łomiankach, w Łukaszówku, nie wiem skąd tam się znalazł jakiś cylinder stary i Alek Dawidowski, który miał ponad metr dziewięćdziesiąt, w majtkach kąpielowych, przy robotach rolnych w tym cylindrze był. I miał wyprowadzić krowę na pastwisko, a ona się uparła. Ciągnął ją za ten łańcuch, ani rusz nie chciała. Więc potem zaczął jej wymyślać. Potem złapał jakieś widły i zamachał się, chciał ją po prostu uderzyć. Akurat pani Makólska stanęła w drzwiach i powiedziała tak: „Aluś, słuchaj, przecież krowa to też kobieta, w ten sposób nie można”. I „Alek” rzucił te widły, stanął w drzwiach tej komórki, tym cylindrem się uklonił i powiedział: „Pani krowa będzie uprzejma wyjść na pastwisko” i krowa spokojnie sobie wyszła. Więc i takie zabawowe, różne historyjki były. Przecież no, no byliśmy młodzi.

A czym była kronika „Paczki”?

To wam pokażę.

A coś notowaliście państwo?

Więc... Aha, bo jeszcze muszę powiedzieć tak. Bo myśmy bardzo dużo pisali listów do siebie, których się nie wrzucało na, do skrzynki, tylko się sobie przekazywało. Jak ktoś miał coś, przemyślał coś, coś wykombinował, to co – pisał, do kogo chciał, z tego towarzystwa. A poza tym no muszę powiedzieć, to, przecież to były szczeniaki wszystko, w gruncie rzeczy. A muszę powiedzieć, że te rzeczy, o których się rozmawiało, o których się pisało, o których się myślało, były bardzo poważne, bardzo serio podchodziliśmy do życia. No może były takie czasy, prawda? Poza tym byliśmy tak wychowani w tym dwudziestoleciu, więc, więc to było troszkę inaczej. A kronika to jest taki mały zeszytek, który ze sobą wzięłam, miałam w tym – on w Łomiankach został. I tam, tam każdy coś tam pisał, co chciał: a to jakiś wierszyk, a to jakąś piosenkę, a to co, to, co się stało, więc... I to mam jeszcze. Jeszcze udało mi się zachować jakieś takie właśnie różne papierzeczki. Poza tym ja nie wiem czy coś z książek z tamtych czasów byście – o tamtych czasach, dotarło do was. Bo na przykład jest taka książeczka napisana przez pana Strzembosza, tego historyka, pod tytułem: „Bohaterowie »Kamieni na szaniec« w świetle dokumentów”. Nie wiem, dotarła do was?

Tak.

Tak? No to więc właśnie. Więc... I tam są takie najrozmaitsze, bo Tomek prosił, zbierał od nas właśnie, komu się zachował jakiś, jakiś dokument, no bo to już dokumenty są, prawda? Pisane ręcznie. I on to pozbierał i włączył. I ta książeczka bardzo dużo mówi o tym, bo tam, no są takie różne rzeczy.

A kiedy „Paczka” się rozwiązała?

Trudno powiedzieć czy się rozwiązała, ale takim ciężkim momentem i dużej zmiany, dla mnie też, to był Arsenal, to było odbicie Jaśka, „Rudego”. I wtedy zginął Jasiek, zginął „Alek” Dawidowski – no nasi najbliżsi przyjaciele. Bo pierwszy to zginął Jacek Tabęcki, ale to z łapanki na ulicy. Potem Jurek Masiukiewicz do Oświęcimia też przez „Wawer” trafił. No a, ale już właśnie Arsenal, no to był taki moment, no najtrudniejszy właściwie, bo oni zginęli, potem został aresztowany mój brat i mój ojciec, którzy trafili potem przez Pawiak do Oświęcimia. Więc to się tak... No i w lecie zginął Tadeusz Zawadzki. Wtedy powstał właśnie Batalion „Zośka”, już po jego, z nazwą jego imienia. Więc pozmieniały się te różne rzeczy bardzo i no, zabrakło ludzi. Więc wtedy... No, z tą resztką się, oczywiście, że trzymałam się bardzo blisko, ale ja wiem? No, no było trudno bardzo.

A Tadeusz Zawadzki kim dla pani był? To znaczy: jakim był dowódcą, kolegą.

On był fantastyczny, on miał... To co myśmy potem – myśmy na razie nie wiedzieli, co znaczy charyzma, ale już potem żeśmy się dowiedzieli, co znaczy. On miał zdecydowaną charyzmę. To był urodzony wódz, fantastyczny zupełnie. O, i na przykład mój mąż nie miał wodzowskich – był wielkim autorytetem dla wszystkich, właściwie od początku do końca swojego życia był autorytetem, ale nie miał tych cech wodzowskich, a Tadeusz miał, zdecydowanie: i autorytet, i właśnie charyzmę taką wodzowską. Naprawdę zupełnie, zupełnie specjalny [charakter?]. I no bardzo się przyjaźniłam z nim, byłam jego adiutantem przez jakiś czas.

A jak to się stało, że pani była jego adiutantką?

Słucham?

Jak to się stało, że pani została jego adiutantką?

Ja wiem?

Naturalnie?

Nie wiem, no to tak właśnie po znajomości trzeba było to...

A jak to było... Jak aresztowany został Janek Bytnar? Gdzie pani była wtedy?

Ja wtedy szczęśliwie byłam w Olesinku, pojechałam do mamy tam. I po aresztowaniu Jaśka jeden z chłopców, który mieszkał piętro niżej, w alei Niepodległości, na tej klatce schodowej co Janek, na noc przeszedł do naszego mieszkania na Grottgera, właśnie w obawie, że mogą przyjść tam do mieszkania Jaśka i jego też mogą wyciągnąć. Bukowski, Staszek Bukowski. I niestety, jego, jak przyszli aresztować z kolei mego ojca i brata, to i – on mieszkał u nas i jego też aresztowali, więc oni całą trójką się dostali potem właśnie do Oświęcimia. A mnie wtedy w domu nie było, właśnie byłam w Olesinku. A tu po prostu jeden z chłopców, który brał udział w akcji, wpadł, Niemcy go aresztowali, no i wyłukli od niego adres naszego mieszkania. [00:56:20 niezrozumiałe]. Więc, więc... I wtedy Niemcy przyszli i po ojca i po brata.

A kiedy pani wróciła do Warszawy dopiero wtedy się pani o tym dowiedziała?

Zaraz po aresztowaniu, dwudziestego szóstego przyjechała przyjaciółka mojej mamy, która się dowiedziała o aresztowaniu tutaj, tam do Olesinka i dała nam znać. I ja natychmiast przyjechałam do Warszawy. I pamiętam świetnie, że wtedy na placu Unii spotkałam Jurka Kozłowskiego, bo też był z 23, on był drużynowym mego brata, starszy trochę i „Koziołek” wtedy powiedział mi właśnie, że Jasiek został odbity, że... I ja pamiętam, że mnie taka, taki spokój ogarnął i takóś jak, idiotycznie zresztą, ale takie miałam przeświadczenie, że przecież mi się nic nie stanie, absolutnie nie może, bo chłopcy mnie obronią. Nie ma mowy, żeby oni dali mi gdzieś tam zginąć. No muszę powiedzieć, że wtedy te rzeczy, które dzisiaj może, może nie cenimy albo nie używamy, takie jak, jak braterstwo, jak przyjaźń, jak zaufanie – no to, to były na porządku dziennym i to było wiadomo. No, ja wtedy przecież nie miałam gdzie mieszkać, bo u wujostwa, znaczy u Baški rodziców nie mogłam, bośmy się bali, że tam przyjdą za mną. Bo w ogóle, w ogóle wszyscy znajomi, że tak powiem, oni myśleli, że, że za mną chodzi jakieś Gestapo też. I wtedy Stefan Mirowski mi pomógł, ubrał mnie, że tak powiem, od swoich i rodziny. Gdzieś tam jakieś i buty mi zdobył, a potem mieszkałam u jego cioci na Grochowie. Tak że tak, no właśnie jakoś pod tym względem to tak... Przecież świetnie pamiętam jak, ale to by musiał być rok jakiś czterdziesty pierwszy chyba, drugi, coś takiego. Na początku była jakaś wpadka rowerowa. Przemek wpadł i Irek, Irka Kowalska chyba i trzeba było się ukrywać. I myśmy się wyprowadzili z domu, i przez parę dni mieszkałam u państwa Bytnarów w alei Niepodległości i wtedy poznałam bliżej całą rodzinę. Znaczą, była pani Bytnarowa, jej mąż i była matka pana Bytnara, babcia, właściwie prosta kobieta ze wsi, o takiej dobroci, życzliwości i mądrości. I pamiętam wtedy przecież, jak tam mieszkałam, no to byłam tam i karmiona też. I pierwszy raz w życiu wtedy jadłam zupę z chleba. To wysuszone kawałki chleba były namoczone w wodzie, czymś tam, nie wiem, jakąś cebulką, z czymś okraszone czy coś – no nie wiem, coś takiego. Wiem, że to pierwszy raz w życiu jadłam. Ale to jest dowód, jak wtedy było biednie, jak, jak nie mieliśmy, ale nie było mowy, żeby tym co mam, nie podzielić się z tym drugim.

[01:00:04 NIEZROZUMIAŁE]